

Świat podziemi ogłosił wojnę z policją amerykańską

W New Yorku odbyła się konferencja dyrektorów policji z New Yorku, Washingtonu, Chicago i Baltimore. Planują oni wspólną ofensywę przeciwko mętom świata podziemnego. Rzecz prosta, że zagrożony świat podziemny przez swoich agentów dowiedział się, co się święci, i wybitniejsi gangsterzy zebraли się również na kongres, podczas którego omawiali plany ofensywy... przeciwko policji amerykańskiej. Czy ta wojna położą wreszcie kres panowaniu porywaczy ludzi, morderców i szmuglerów? Czy Ameryka odetchnie wreszcie od gnębiącego ją jarzma złoćców? Czy też policja nie zdoła opłonić sytuacji i spokojni mieszkańcy wielkich miast ucierpią tylko wskutek nowego zamachu na ustalony porządek?

ZASŁUGI HOOVERA

Edgar Hoover, który przed trzema laty został mianowany szefem departamentu kryminalnego w Ministerstwie Sprawiedliwości w Washingtonie prowadzi nieubłaganą walkę przeciwko panowaniu świata podziemnego. W chwili, gdy wybitny ten człowiek obejmował swój urząd — stosunki były rozpaczliwe. Policja była zupełnie bezsilna wobec bogatych, świetnie zorganizowanych band, wyposażonych w najbardziej nowoczesne środki techniczne. Od kilku dziesiątków lat spokojna ludność Ameryki wegetowała pod terorem. Ustawa o prohibicji doprowadziła do rozkwitu szmuglerstwa — wzbogacając niesłychanie bandytów. Fantastyczne wprost dochody, jakie przynosił nielegalny handel alkoholem, dał gangsterom środki na utrzymywanie licznych kadrów dobrze opłacanych strażników, którzy gotowi byli na skinięcie szefa rozpocząć walkę z istniejącym porządkiem rzeczy. Miliony ludzi należały do jawnych czy tajnych stowarzyszeń, kierowanych przez gangsterów. Hersztów wybitniejszych band otaczała gloria — Amerykanie poddali się urokowi ich odwagi i przestali zdawać sobie sprawę, że to są tylko wybitni zbrodniarze. Ostatecznie doszło do tego, że szmuglerstwo uważano, za taki sam dobry „business” jak handel czy adwokatę.

ZMIANY W BUSINESSIE

Gdy zniesiono prohibicję i la-

ta koniunktury dla szmuglerów skończyły się nagle — gangsterzy, przerzucili się na inny „fach”. Zaczęło się porywanie ludzi. „Kidnapperzy” mnożyli się, jak grzyby po deszczu. Walka z tymi przestępcami była tem trudniejsza, że władza policji amerykańskiej sięga tylko do granicy stanu, w którym przestępstwo zostało popełnione. Jeśli zbrodnia-rzowi udało się przekroczyć tę granicę zapewniał sobie na czas pewien bezpieczeństwo. Porwanie i zamordowanie dziecka Lindbergha poruszyło cały świat. Ameryka zapłonęła oburzeniem. Solidarnie zażądano od władz bezpieczeństwa wypłnienia bandytizmu.

Pierwszy wypowiedział wojnę gangsterom dzielnicy burmistrz Chicago, Polak, Czermak. „Zelazną miotłą” obiecał wymieść bandytów z obrębu Chicago. Jakoż ujęcie Al Capone’a rzuciło strach na przestępców. Zbrodnica reka położyła wprawdzie kres życiu burmistrza — ale na jego miejsce znalazł się inny nieustraszonego obrońca porządku społecznego: Edgar Hoover.

ODDZIAŁ „G”

Wkrótce po zamordowaniu syna Lindbergha powołany został do życia oddział G. mający na celu walkę z przestępczością. Organizacja ta zaczyna przyćmiewać Scotland Yard. Składa się ona z 500 członków. Są to wszyscy wybitni kryminaliści, ludzie lwiej odwagi, błyskawicznej decyzji. Grupa wypadowa składa się z doskonale wytrenowanych sportowców, którzy zawsze potrafią wystrzelić o pół sekundy wcześniej, niż bojówki gangster-skie.

W ciągu trzech lat istnienia oddział G. zyskał sobie należny szacunek wśród band gangster-skich. Gdy kilku ludzi z tego oddziału pokaże się w jakimś mieście — nawet najodważniejsi bandyci wolą wyemigrować pocichu w bezpieczniejsze okolice. Ludzie ci posiadają wyjątkowe pełnomocnictwa i wolno im ścigać przestępców po całym terytorjum Stanów, nie krępując się granicami stanów poszczególnych. Pierwszym dowodem, jak świetnie funkcjonuje ta organizacja jest to, że zdołała ona dokładnie wyśledzić wszystkie 42 wypadki porwania ludzi, które zostały jej przekazane. Ostatnim z nich by-

ło porwanie syna bankiera Werhausera. — Za porwanego zażądano okupu w wysokości 200 tysięcy dolarów. Oddział G. nie tylko wystrzelił bandytów, ale ocalił też okup, a wszystkich sprawców oddał w ręce władz więziennych. Tenże oddział zlikwidował postrach Ameryki — Dillingera. Edgar Hoover dąży do rozszerzenia działalności oddziału — i do wytworzenia stałej współpracy między wielkimi miastami amerykańskimi. Właśnie w tym celu została zwołana wspomniana konferencja, obradująca w ratuszu w New Yorku.

ZJEDNOCZENIE

Wiadomość o nowej ofensywie policyjnej zelektryzowała świat podziemny. Trzeba dodać, że jak dotychczas, najlepszym sprzymierzeńcem policji była niezgoda i porachunki osobiste pomiędzy poszczególnymi bandami. Przecie niektórzy gangsterzy zwalczają się nawzajem na śmierć i życie. Otóż ci nieprzejednani wrogowie udzielali czasem policji cennych wieści o swoich przeciwnikach... Ale — od paru dni — policja nie otrzymuje już informacji. Podob-

no przywódcy band postanowili zjednoczyć się i wspólnymi siłami wydać decydującą bitwę policji. Dwie najpoważniejsze bandy podziemne New Yorku „Wielka Dziesiątka”, „S. F. J.” wypiliły fajkę pokoju, a pod ich egidą i drobniejsze bandy „zakopaly topór wojenny”.

Przed samą konferencją dyrektorów policji otrzymał oddział G. ciekawe wieści. Podobno zwołany został „parlament” złoćców. Ogólne głosowanie złożyło organizowanie walki czynnej z policją w ręce „Wroga społecznego nr. 1” — Alvina Carpina. Pierwszym czynnem wodza — było przesłanie listu z pogrózkami pod adresem Edgara Hoopera. Jak dotąd oddziałowi G. nie udało się wytopić głównej kwatery band przestępczych. Fama głosi, że znajduje się ona w niepokojnym domu na przedmieściach New Yorku...

Tak czy inaczej — walka policji ze światem podziemnym weszła w nową fazę. Policja wypowiedziała wojnę gangsterom. Gangsterzy ze swej strony szykują się do wielkiej ofensywy...

Niezwykła opowieść o wypadku Ze wspomnień Clemenceau

Clemenceau był w swoim czasie gorącym wielbicielem samochodu — poprostu nie uznawał innego sposobu lokomocji i dziwił się, gdy jego przeznaczeni koledy woleli podróżować bezpiecznie pociągami. Nawet okropny wypadek samochodowy, w którym brat „starego tygrysa” postradał życie, nie skłonił go do zradzenia ulubionego wozu. Oto jak opowiadał Clemenceau, w jaki sposób doszła do niego wiadomość o nieszczęściu:

„Posłaniec, który przyniósł złą wieść był skromnym funkcjonariuszem pocztowym. Zaprowadził go do pokoju Jeanette, mojej kuzynki, gdzie właśnie wszyscy zebrałiśmy się przy poobiedniej kawce. Skłonił się niezgrabnie — i przeprosił, że nam przeszkadza. Chciał tylko zawiadomić nas, że chłodnica jest całkiem zdruzgotana.

Jeanette zerwała się z krzesła, blada jak ściana. Jaka chłodnica? Niech się pani nie denerwuje,

Gdybyż to była tylko chłodnica, nie byłoby tak źle. Niestety i ka- roserja poszła w kawałki...

Wyglaszając te zagadkowe słowa, mówiący nie podnosił oczu podłogi i kręcił wciąż w ręku czapkę.

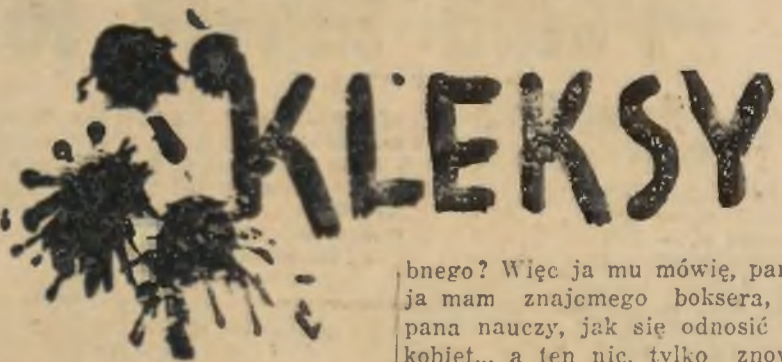
Nie dało się uniknąć upadku w rów. A rów jak na złość pełen był wody...

Jeanette krzyknęła: A Filip? Posłaniec milczał.

Więc Filip wpadł do wody. Czy prędko będzie tu?

Posłaniec zdobył się wreszcie na odpowiedź. „Myślę — że nie tak prędko — widzi pani — on leży pod szczątkami wozu...”

Taka to była opowieść o katastrofie w której Clemenceau utracił najdroższego przyjaciela. Mimo to — pozostał wierny samochodom. Twierdził czasami, że to dlatego, iż wieść o nieszczęściu została przyniesiona w tak zabawnym sposób przez posłańca z dalekiej Wandei.



Brutalni faceci

Fred obnażył swój wspaniały tors i zabrał się do bokswania zawieszanej u sufitu treningowej piłki.

— Bach! bach! bach! bach! Przejęty tą funkcją, nie przysłuchuje się zbyt opowiadaniu, któremu go raczy wielbicielka jego bicepsów, panna Jadziunia.

Opowiadanie jest skargą na brutalność pewnych panów.

— Idę wczoraj ulicą, aż tu przyczepia się do mnie jakiś facet i nie mogę się go pozbyć w żaden sposób.

Mówię: odcep się pan, nie chcę z panem rozmawiać, nie nie pomaga, jakaś natrętna malpa.

— Bach! bach! bach! — rozlegają się wprawne uderzenia pięści.

— Wreszcie, kiedy już widział, że nic z tego nie będzie, schwytał mnie z całej siły za ramię, ścisnął tak mocno, że aż mam sińce... i nazwał mnie wydrą. Brutal, co? I co ty powiesz na to Fred?... co?

— Bach! bach! bach! — Zawołałam policjanta, który spisał protokół... — ciągnie niezmordowanie panna Jadziunia — i pomyśl jacy ci mężczyźni są wstrętni, policjant się na mnie patrzył tak natarczywie i zadawał mi takie pytania, na które, doprawdy przyzwolonej pannie trudno odpowiedzieć...

— Bach! bach! bach — bokserskie rękawice knock-outują piłkę. — Dowiedziałam się nazwiska tego faceta, nazywa się Blyszczak i mieszka na ulicy Kruczej, mam jego adres... nie dajam za wygraną i poszłam do znajomego adwokata, nazywa się Glanc, żeby temu brutalowi wytoczyć proces. I wiesz, Fred, ten adwokat tak się zachował, że doprawdy trudno w to uwierzyć — chciał mi pocałować. Okropne, co? prawda, Fred?...

— Bach! bach! bach! — wyobrażasz sobie coś podob-

nego? Więc ja mu mówię, panie ja mam znajomego boksera, on pana nauczy, jak się odnosić do kobiet... a ten nie, tylko znowu mnie napastuje w cyniczny sposób, dałam mu w twarz i poszłam do znajomego sędzięgo śledczego... pana Karzela. Opowiadał mi jak było. Sędzia każe mi usiąść i prosił żebym mu pokazała te sińce... na ramieniu... Pokazuje mi, a on mówi słodkim głosem:

— Tiu, tiu, boli? Tiu, tiu zia-zia... i pomyśl, co za ohyda, on też mi chciał pocałować... Wyrwałam mu się i chcę uciekać, a on przytrzymał mnie za rękę i ścisnął tak mocno, że znowu dostałam sińców...

— Bach! bach! bach! — wala bokserkie pięści.

— I pomyśl, jacy brutalni są ci faceci, gdzie ładna kobieta ma szukać sprawiedliwości?...

Wszyscy rwą się do całowania, od awanturnika poczawszy...

— Fred! Sluchaj, Fred!

— Bach! bach!... Czego chcesz?

— Prawda, jacy oni są wstrętni?

— Bach! bach! Prawda.

— Fred!

— Co?

— Bardziej mi boli ramię, zobacz, jakie sińce...

— Wierzę ci na słowo... Bach! bach!

— Nie chcesz zobaczyć, Fred?...

— Zajądynam poprostu... albo przyłożę kompres...

— A nie pocałujesz swojej malej Jadziuni?

— Później, teraz jestem zajęty, ćwicze... Bach! bach! bach!

— Och, jacy wy wszyscy jesteście wstrętni.

Jur.

Jak powstał znaczek pocztowy?

W roku bieżącym przypada stoletni jubileusz znaku pocztowego. Nie wszyscy znają ciekawą historię jego powstania.

Przed stu laty, na wiosnę roku 1835, Anglik nazwiskiem Rowland Hill wyruszył w podróż. Pewnego dnia, gdy się zatrzymał na postoju w oberży, posłaniec przyniósł list i doręczył go kelnerce. Dziewczyna spojrziała na kopertę — a potem oddała ją z powrotem posłańcowi, mówiąc, że nie może pisma przyjąć, gdyż opłata za doręczenie jest zbyt duża. Rowland Hill zobaczył, że dziewczyna ma łzy w oczach. Podeszedł więc i zapytał się o co chodzi. Okazało się, że list ów pochodził od narzeczonego kelnerki, który przed trzema laty wyjechał z Anglii. Dziewczyna oczekiwała z niepokojem wieści a gdy przyszły — nie mogła listu wykupić. Rowland Hill wykupił list i oddał go adresatce.

Później jednak zaczął się zastanawiać nad tem, czy nie można by tak jakoś zrobić, aby nadawca umieszczał na liście znaczek, po którym można by poznać czy list został na miejscu opłacony. Po przybyciu do Londynu, Rowland Hill udał się do właściwych władz i opowiedział o swojej przygodzie i zaproponował, aby pobierano opłatę za doręczenie listu od nadawcy. Na dowód, że koszt doręczenia zostały opłacone można by naklejać na kopertę małe kawałeczki barwnego papieru.

Projekt Rowlanda podobał się. Uznano go za praktyczny. Poczta-kowo o zapłaceniu kosztów doręczenia świadczyły skrawki papieru, które stopniowo nabierały kształtów coraz eleganśniejszych i przekształcały się z biegiem lat w dzisiejsze znaczki o dużej nieraz wartości artystycznej.

FRANCIS DE CROISSET

15)

DAMA z MALAKKI

POWIEŚĆ

— Niepotrzebnie się pan martwi — mówił doktor okrętowy Herbertowi. — Jest to charakterystyczny atak malarji.

— A dlaczego boli ją gardło?

— Zdarza się to często w tych stronach. Uleczy ją morze. Lepiej żeby nie wychodziła w Colomba na ląd.

— Nie zechce mnie słuchać.

— Myślę, że ją pan latwiej przekonasz, niż się panu zdaje. Po chorobie będzie dosyć osłabiona.

Gorączka spadła, ale Audrey czuła się tak wyczerpana, że nawet czytanie ją męczyło. Herbert pielęgnował ją troskliwie i z donieszką zniecierpliwienia. Punktualnie, co godzinę wchodził do jej kajuty.

— No, co lepiej się czujesz? Wiesz, wszyscy się niepokoją o ciebie. Lady Lyndstone była dziś bardzo uprzejma i powiedziała mi, że przyjdzie ci odwiedzić, jak tylko będziesz miała na to ochotę.

— Nigdy nie będę miała na to ochoty — chciała odpowiedzieć Audrey.

Herbert siadł przy niej, i, chcąc ją pocieszyć, starał się przybrać ton zawodowej dobrodusznosci. Nie miał należytej wprawy, bo całe życie leczył wojskowych a nie kobiety. Widocznym było, że szukał tematów rozmowy. Nie posiadał twórczego umysłu i z chwałą, gdy nie mówił o sobie lub o swej karierze, nie miał nic do powiedzenia.

— Niema między nami nic wspólnego — myślała Audrey. — Ale tylko ja zdaję sobie z tego sprawę.

Radziła mu serdecznie pójść na pokład lub wrócić do partji brydża. Wówczas Herbert kładł jej rękę na czoło

i całował ją. Pocałunek jego miał smak soli i tytoniu. Potem przypominał, żeby się lepiej odżywiać, mówił jakiś dowcip, który miał jej dodać otuchy i odchodził.

— Lady Lyndston, korzystając z jutrzejszego postoju, chce zrobić wycieczkę do Kanady i zaproponowała, że mnie zabierze samochodem. Oczywiście nie może być o tem mowy, bo nie chcę ciebie samej zostawić — mówił w wilgę przyjazdu do Cejlonu głosem pełnym decyzji; w oczach jego można było wyczytać rozczarowanie.

— Ależ musisz koniecznie pojechać! — wykrzyknęła Audrey. — Błagam cię, zgódź się na jej propozycję.

— Właściwie wolałbym zostać...

Herbert nie umiał kłamać, bez trudu więc zdołała go przekonać.

Audrey, oparta o poduszki, starała się zobaczyć przez okienko kajuty „boską wyspę”. Ale w pozycji leżącej z tej strony statku widać było tylko kawałek portu i przed jakimś statkiem. Od czasu do czasu przelatowały okrytym lotem mewy i sępy wodne, i Audrey dostrzegła między trójkątem skrzydeł wystające dzioby.

Czasem wiatr przynosił do kajuty fałę zapachu tak dziwnie ostrego, intensywnego, odurzającego — tak bezpośrednio bliskiego. Iż wydawało się jej, że cała kajuta napelnia się nagle kwiatami. Pachniało pieprzem, miodem, bursztynem, żywicą i jeszcze czemś, czego nie znała.

Nagle przed oknem zakolysał się błyskotliwy cień, zawałił się, uderzył o ramę okiennej, wreszcie wleciał. Był to zbłąkany motyl bardziej lśniący, niż najcudniejszy klejnot. Skrzydła jego poruszały się, jak małe wachlarzyki. Taki był duży, że na pierwszy rzut oka Audrey myślała, że to ptak. Nie był ani zielony, ani błękitny, ale łączył w sobie oba kolory, co było żywą mieszaniną szafirów i szmaragdów. Wywoływał wizję morza i dżungli, której liberję nosił. Spód skrzydeł, dużo ciemniejszy i usiany złotymi gwiazdkami symbolizował tropikalną noc.

Latiał przez chwilę koło Audrey, wahał się, wreszcie

zatarasował na przeciąg sekundy okienko i znikł. To tylko widziała Audrey w Cejlonie.

Obudziwszy się nazajutrz po spokojnie spędzonej nocy, poczuła się zdrowa i rześka. Zdziwiła się, choć doktor okrętowy przepowiadał jej to.

— Pani wyzdrowieje nagle.

Była tylko jeszcze trochę znużona.

Uwieszona od ośmiu dni w kajucie, jak w łaźni, Audrey czuła potrzebę czynu i ruchu; dusza się z niej wyrwała do życia.

— Muszę popracować.

Wzięła swoje notatki, blok, wieczne pióro i poszła na górny pokład. W cieniu płóciennego dachu, ciężkiego od nadmiaru światła, pokład był pusty.

— Co za szczęście, że nikogo niema — pomyślała.

Przypomniała sobie nagle, co mówił wczoraj Herbert: dzisiejszego wieczoru miał się odbyć bal kostiumowy. Spewnością pasażerowie przygotowawali się do niego z tym skoncentrowanym entuzjazmem, który wywołuje w każdym Angliku, bez względu na jego wiek, perspektywę przebrania się. Czy Herbert też się przebrze? Obudziła się dziś późno i nie widziała go dotąd.

— To nie byłoby podobne do niego — myślała trochę niepewnie.

W każdym Angliku nawet najbardziej pozbawionym fantazji drzemie dusza sztubaka. Zresztą w duszy jej męża było dużo rzeczy, których nie zdążyła jeszcze dojrzeć.

Zasiadła wygodnie i popatrzyła na zegarek. Była dopiero wpół do jedenastej. Będzie miała czas przepisać artykuł na czysto. Odczytała go i podarła poprzekreślać, pełne poprawek stronice: opis Adena i życia na statku był połowiczny; słowa, których użyła okazały się blade lub banalne. A jednak starała się szalenie! Nie, w tym artykule nie było nic, nie „ruszało się”.

(C. d. n.).

Ceny ogłoszeń:

za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpal-ty (na wszystkich stronach po 6 szpal-ty): na 1-ej stronie — 1 zł, w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 30 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty i wyjaśnienia — 150 zł. opisy specjalne — 3 zł., lekar-skie — 30 gr. Nekrologie po 30 gr. Drobne po 20 gr. za wyrz. duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a tuż ty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznaczają się cyfrą (N.), a komunika-ty i wyjaśnienia cyfrą (K.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony: 6.66.68 (redaktor naczelny), 6.66.99 (sekretariat). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 12-13. ADMINISTRACJA: Warszawa, Zgoda 1. Telefony: Administracja i Zarząd 691-64. Prenumerata 691-66. Wydział ogłoszeń 691-56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — A B C Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550. PRZEDSIĘWZIĘCIA: Kalisz, Aleja Józefiny 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Słowackiego 9, tel. 59; Włocławek, Cyganka 26, tel. 136. PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnikiem do domu) i zamiejscowa zł. 2.30 miesięcznie; wraz z dzielnymi Sienkiewicza zł. 3.30 miesięcznie.